

Słowa

Jakub Tabisz

Pierwszy był kolor żółty, błyszczący tuż pod powiekami snu. Raził mój umysł jaskrawym światłem nowego dnia. Gdy otworzyłem oczy zalała mnie mglista biel poranka. Powoli kontury przedmiotów znajdowały swoje miejsce w zaspanych myślach. Sięgnąłem po mały, metalowy kamerton spoczywający w pustej szklance. Chciałem poczuć drżenie dźwięku we wszędobylskiej ciszy. To był taki mój codzienny rytuał, urodziłem się kompletnie głuchy. Z trudem uczyłem się mowy gestów czytając o prawdziwych słowach w wiecznie milczących książkach. Kamerton wibrował nieznaną mi melodią dźwięku. Przyłożyłem go do ciepłego policzka chłonąc każdą sekundę tajemnicy. Rozpoczął się kolejny dzień.

Co wtorek chodziłem na ulicę targową w moim mieście nad ciepłym, letnim morzem. Słońce niemiłosiernie paliło ludzkie twarze już o ósmej rano, kiedy to udawało mi się wreszcie skierować pierwsze chwiejne kroki w odpowiednim kierunku. Targ nie był daleko od mojego domu, ale ilekroć docierałem na miejsce, miałem wrażenie przekraczania niewidzialnej granicy. Setki ludzi otwierało usta w krzyku pozbawionym dźwięku próbując dobić interesu swojego życia. Śmieszne gdy pomyśli się o przedmiocie ich targów i sporów - nieco przejrzałym melonie lub wczorajszych owocach morza. Nie rozumiałem o czym rozmawiają ze sobą. Mogłem się tego tylko domyślać po uśmiechach rozlanych na twarzach i smutku wypływającym z zaczerwienionych oczu. Ludzie na targu dzielili się oględnie mówiąc na trzy grupy. Zakutani w czerwień ciemnoskórzy kupcy sprzedawali najlepsze figi i pistacje w mieście. Każdego klienta omiatali od stóp do głów bardzo poważnym spojrzeniem spod kapeluszy o wielkich rondach. Potem wyciągali worek orientalnych przysmaków i częstowali chętnych klepiąc ich serdecznie po ramionach. Kolejną grupę stanowili wiecznie roześmiani, niscy i kurpulentni ludzie ubrani na niebiesko. Trudno ich było odróżnić od siebie, wyglądali niczym bracia bliźniacy w tych samych strojach ze skośnymi, błyszczącymi oczami. Ich specjalnością były tysiące rodzajów ryżu i herbaty. Znad straganów okupowanych przez kupców ubranych na niebiesko unosiły się piękne zapachy lawendy i dzikich róż. Zdarzało mi się przystawać przy workach z ryżem, by zaczerpnąć aromatycznego oddechu. Niebiescy kupcy jak miałem zwyczaj ich nazywać ostrożnie miarkowali każdy towar, by nie uronić ani ziarnka cennego ryżu. Ostatnią zwartą grupę na targu stanowili ludzie ubrani na biało. Ich skóra ciężko znosiła bezlitosne słońce zdobiąc ich odsłonięte karki i uszy krzykliwą czerwienią. Spośród wszystkich kupców ci na biało ubrani najczęściej i najszerzej otwierali usta. Jedyne co pozostawało mnie głuchemu, to przypatrywać się żywym gestom towarzyszącym machającym bezgłośnie szczękom przypominającym ryby pozbawione wody. Biali kupcy o spalonej południem skórze sprzedawali soczyste pomarańcze i kwaśne cytryny. Dla czystej radości przechodzącego klienta potrafili żonglować swoim towarem z wprawą wytrawnego cyrkowca. Wraz z innymi widzami uderzałem dłonią o dłoń z uznaniem dla ich kuglarskiego kunsztu. Lubili się wtedy kłaniać do pasa i potrzasać rubasznie wielkimi brzuchami.

Na ulicy targowej życie zamierało tuż przed południem. Bezchmurne niebo wyganiało różnokolorowy tłum mieszczuchów do cienistych domków i restauracji nad brzegiem morza. Tak naprawdę ludzie z mojego miasta lubili się ubierać byle jak. Daleko im było do wykwintnych strojów kupców spływających obfitymi kolorami. Dlatego też tak bardzo lubiłem zostawać na targu po godzinach i wyobrazać sobie jak szumią powłóczyście błękitne, szkarłatne i białe ubrania. Kupcy odnosili się do mnie bardzo serdecznie. Wiedzieli, że jestem głuchy i próbowali mnie rozpieszczać na różne sposoby. Stary, bezzębny człowiek w czerwieni za każdym razem wciskał mi w dłonie worek wypakowany pistacjami i kilka fig do przegryzienia na miejscu. Głaskał mnie po głowie niczym ojciec starając się mi coś zawsze powiedzieć. Ja wzruszałem ramionami i pokazywałem mu

gestem rosnące drzewo, które powiewa liśćmi na wietrze. Potem w podzięcie za jego dobroć zamieniałem dłonie w małego przestraszonego zwierzątko. Bardzo go bawiły moje sztuczki. Wiedziałem, że dawno temu zgubił sztuczną szczękę i teraz pozostaje mu już tylko powolne żucie chleba i odpowiednio zmiękczonego owoców. On jednak nieszczerze się tym przejmował chwaląc się ostatnim zębem samotnie spoczywającym w starych dziąsłach. Przesiadując tak w cieniu straganów zauważyłem, że różnokolorowi kupcy starają się przebywać w swoich zamkniętych grupach. Niebiescy handlarze nie zadawali się z czerwonymi. Biali omijali szerokim łukiem pozostałych. Trochę dziwaczne zachowanie właścicieli straganów nieszczerze wtedy mnie przejmowało. Wszyscy żyli w zgodzie nie wchodząc sobie w drogę. Jak się później okazało do czasu.

Po upalnym letnim sezonie, gdy z miasta uciekli już wszyscy turyści, na ulicach pojawił się pierwszy nieśmiały deszcz. Krople wody uderzały o suche kamienie natychmiast zamieniając się w obłoki pary. Mieszkańcy chowali się w tramwajach i sklepach przed piorunami rozrywającymi niebo. Czasami czułem w moim ciele drżenie nieokreślonego żywiołu natury przenoszonego metalowymi rynkami i szklanymi wystawami. Deszcz po tylu miesiącach suszy był dla mnie okazją do radości, skakałem po kałużach nie zauważając świata dookoła. Gdy zamykałem oczy potraćali mnie ludzie śpieszący się setkami niedokończonych spraw. Nie słyszałem ich twardych łokci i ciężkich stóp. Niesiony warkim prądem tłumu wypłynąłem na ukochany, kolorowy targ. Spodziewałem się dołączyć do uśmiechniętych kupców i razem z nimi zatańczyć w pierwszy dzień jesieni. Ich ciała jednak milczały, ich oczy pałały smutkiem, ręce zaciskali w pięści i stali bez ruchu naprzeciwko siebie. Ubrani na niebiesko i biało ludzie otaczali ukrytych w fałdach czerwieni handlarzy. Pomiedzy nimi przechadzał się szary od błota miejscowy policjant. Mój bezzębny przyjaciel, który tak hojnie obdarowywał mnie pistacjami klęczał na bruku, na środku targowego placu. Ręce złożył w geście błagalnym i spoglądał pełen rozpacz na wysokiego funkcjonariusza. Koło niego stała kobieta w bieli żywo gestykulując, jak to zwykle miała w zwyczaju. Usta jej nie mogły się zamknąć, jakby chciała połknąć nimi cały deszczowy świat. Policjant cierpliwie zapisywał coś w notesie, czasami przerywając wywód białej handlarki krótkim rozwarciem zarośniętych szczęk. Próbowałem przepchać się przez tłum w stronę bezzębnego starca. Ale na próżno, ludzie stanowili dla mnie nieprzebytą masę niewrażliwą na moje nieme gesty. Po raz pierwszy poczułem się bezsilny. Nie potrafiłem krzyknąć, ani zaprotestować przeciwko złu rozgrywającemu się na moich oczach. Chcieli uczynić krzywdę mojemu kupcowi. Mogłem tylko patrzeć jak wsadzają go do radiowozu i odjeżdżają w stronę dal.

Przez wiele dni próbowałem zrozumieć co właściwie wydarzyło się pierwszego dnia jesieni. Posługując się piórem i stosem kartek wypytywałem znajomych i nieznajomych o przyczyny aresztowania. Wśród gąszczy plotek i niestworzonych historii dotarłem wreszcie do policyjnego raportu. Wynikało z niego, że bezzębny starzec okradł sprzedawców ryżu i owoców z ich z trudem zgromadzonych oszczędności. Do zwięzłego policyjnego druku dołączono zeznania świadków pełne nienawistnych słów i z trudem skrywanych uprzedzeń. Zarówno wiecznie uśmiechnięci błękitni kupcy jak i biali kuglarze wyzywali każdego człowieka ubranego w czerwień od złodziei i oszustów. Nie tylko mój bezzębny dobroczyńca był winny, ale wszyscy jego pobratymcy, z pokolenia na pokolenie wychowywani na przestępców. Cóż z tego, że była to pierwsza tak poważna kradzież od wielu lat na targowej ulicy. Oskarżycielom nie przeszkadzały setki wtorków spędzonych w tym samym miejscu, ramię w ramię, w upalnym słońcu i ulewnym deszczu. Winni muszą zostać skazani. Nie rozumiałem jak tak szczodry kupiec mógł być aż tak znienawidzony przez własnych sąsiadów. Czy uczynił on coś tak złego, by zasługiwało to na natychmiastowe potępienie. A ta kradzież, której wszelkie dowody opierały się jedynie na wątpliwych relacjach świadków, miała posłużyć jako pretekst? Musiałem wrócić na targ dla spokoju własnego sumienia.

Minęło wiele tygodni odkąd ostatni raz odwiedziłem kolorową ulicę. Stragany

wciąż uginały się od produktów sprowadzanych z dalekich stron. Przez dłuższą chwilę szukałem fig i pistacji, tak drogich mi specjałów. Dopiero po kilkakrotnym okrażeniu targu zdałem sobie sprawę, że z ulicy zniknęli wiecznie poważni kupcy w czerwieni. Ich czarne twarze zastąpili szarzy sprzedawcy z okolicznych domów. Pistacje wyraźnie stwardniały i zmały, figi wyschły na wiór stając się nieznośnie gumowate. Wypisywałem na kartkach pytania o miejsce pobytu czerwonych kupców, ale w odpowiedzi otrzymywałem tylko pełne litości wzruszenia ramion. Zrozpaczony udałem się do kłapiących ustami białych kupców. Dalej sprzedawali wyśmienicie słodkie pomarańcze i kwaśne na zabój cytryny. To mnie trochę uspokoiło. Gdy wszedłem pomiędzy stragany wypełnione owocami paru handlarzy pozdrowiło mnie ciepłymi gestami. Odpowiedziałem im nieśmiałym uśmiechem. Jeden z nich wręczył mi ogromną pomarańczę i zaczął coś śmiesznie tłumaczyć swoimi wielkimi ustami. Położyłem rękę na jego rozwartej paszczęce i pokazałem mu słowa koślavo wyrysowane na kraciastej kartce „Co się stało z kupcami w czerwieni?”. On spojrzał na mnie dziwnie, jakby dopiero teraz uświadomił sobie, że umiem pisać i czytać. Gwałtownym ruchem odebrał mi pomarańczę i odwrócił się do mnie plecami. Zacząłem pokazywać kartkę kolejnym handlarzom, a oni tylko machali rękami i wracali do swoich spraw. Coraz bardziej zdenerwowany ich ignorancją podtykałem im koślawe litery pod czerwone od słońca nosy. W końcu jedna dziewczyna chwyciła pióro i z nieukrywaną złością odpisała mi „Tak kończą złodzieje, którzy nie potrafią wymówić po ludzku jednego słowa” Z satysfakcją oddała mi papier i wyzywająco wsparła ręce na biodrach. Za jej plecami stanęło kilkunastu innych kupców. Ich usta były ściśnięte gniewem. Cofnąłem się o krok i zacząłem uciekać przed siebie. Wyobrażałem sobie ich śmiech za moimi plecami wibrujący jak mały kamerton w pustej szklance.

Przez następny miesiąc bałem się wrócić na targ. Nie chciałem spotkać zuchwałej białej dziewczyny. W końcu jednak przemogłem się sam w sobie i powoli udałem się w stronę targowej ulicy. Pragnąłem porozmawiać z uśmiechniętymi niebieskimi kupcami. Liczyłem na ich rozagę i pomoc w całej sprawie. W przeciwieństwie do kuglarzy w bieli zdawali się zdecydowanie poważniej i spokojniej podchodzić do życia. Nie zonglowali towarem popisując się przed publiką. Nie chciałem jednak spędzać za dużo czasu na targu. Czuję się tam coraz bardziej obco. Jesień zbliżała się powoli ku końcowi, mieszkańcy miasta wychodzili na spacer w długich płaszczach i z parasolami w rękach. Padało coraz częściej, a słońce szybko chowało się za horyzontem. Gdy wszedłem na targ, panował tam mały ruch. Kupcy sennie spoglądali na leniwie przechadzających się pomiędzy straganami klientów. Szybko podążyłem w kierunku sprzedawców ryżu i herbaty. Siedzieli skuleni na małych krzeselkach, na ich twarzach nie gościł nawet cień uśmiechu. Także zawartość ich worków wyglądała mizernie. Wiele rodzajów ryżu zostało wyprzedanych, a nad straganami unosił się zapach kurzu i stęchlizny. Niezrażony zastaną sytuacją wyciągnąłem arkusz papieru. „Co się stało z kupcami w czerwieni?” podtykałem im koślawy napis przed okrągłe twarze. Kobieta w średnim wieku i o bardzo poważnej posturze przywodzącej na myśl wielkie morskie zwierzęta wzięła ode mnie pióro i kartkę. Chwilę naradzała się z pozostałymi kupcami po czym bardzo powoli napisała na arkuszu „Czerwonych kupców wyгнаły ich słowa, teraz te same słowa wygnają stąd nas wszystkich” Enigmatyczne stwierdzenie kobiety niewiele mi pomogło. Spojrzałem na nią uśmiechając się niepewnie, szukając w jej oczach zrozumienia. Ona pozostała poważna. Pokazałem jej drzewo szumiące na wietrze i zabawne zwierzątko uformowane z dłoni. Kobieta chwyciła mnie za rękę, przerywając krótki żywot śmiesznego stworzonka. Chwyciła ponownie pióro i nagryzmoliła „Dziecko nic nie rozumiesz. Jutro te same słowa zmienią targ po raz kolejny. Zostań w domu to nie jest bezpieczne miejsce dla takich jak ty” Pokręciłem głową na znak protestu. Chciałem coś odpisać, lecz kupcy zabrali mi pióro i kartki. Zdenerwowany tupnąłem nogą w ziemię. Kobieta nie przejęła się moim gestem zniecierpliwienia, zapakowała mi złotej herbaty i wypchnęła spomiędzy straganów. Wypadłem na środek ulicy kurczowo trzymając

woreczek z herbatą. Naprzeciwko mnie zgromadzili się ludzie w białych szatach. Przewodziła im opryskliwa dziewczyna, która podeszła do mnie i chwyciła za rękę. Przez chwilę się szarpaliśmy ze sobą aż w końcu wyrwała mi woreczek z herbatą. Podniosła go wysoko nad głowę ku uciesze reszty swoich towarzyszy, po czym wysypała na ziemię. Przyglądałem się temu przerażony, przecież to była naprawdę dobra herbata. Po co ją wysypała na ziemię, na złość mi, czy też żeby pognać skrytych w cieniu błękitnych kupców. Wokół mnie wielu miejscowych sklepikarzy zwijało właśnie stragany. Wyciągnąłem ku nim rękę, lecz oni tylko odwracali głowy nie przejmując się szczególnie całą sytuacją. Jakby nigdy nic klepali się po plecach i wzajemnie pomagali zapakować niesprzedane tego dnia towary. Dziewczyna w bieli spojrzała na mnie z góry i wskazała zdecydowanym gestem chudej dłoni wyjście z ulicy. Pokornie schyliłem głowę i pokonany udałem się do domu.

Nie przespałem całej nocy zastanawiając się nad słowami sprzedawczyni herbaty. Dlaczego słowa były przyczyną nieszczęścia. Znałem je tylko z kart książek, wiedziałem, że miały różny kształt i znaczenie. Wiele z nich potrafiłem przekuwać w język gestów. Drzewo poruszone przez wiatr oznaczało niesłyszącego, a małe zwierzątko z dłoni wdzięczność. W słowach kryła się odpowiedź na wygnanie bezzębego kupca i jego towarzyszy, na złość spowitej w biel dziewczyny. Postanowiłem pójść na targ pomimo ostrzeżeń przekupki. Musiałem zapobiec tajemniczym słowom, które chciały zniszczyć mój ukochany targ. Odszukałem drugie pióro i kilka czystych arkuszy papieru. Pierwszy dzień zimy był zimny i pochmurny. Kamerton pozostał porzucony w brudnej od kurzu szklance. Nie miałem ochoty na dotyk dźwięku tego poranka.

Na ulicy targowej panowało wielkie zamieszanie. Stragany ustawiono w barykady po obu stronach ulicy. Ludzie ściskali w dłoniach kije i kamienie, bez przerwy poruszali przy tym ustami. Na ich twarzach malowała się złość i oburzenie. Stałem pośrodku placu, kamienie uderzały w ściany za moimi plecami. Mieszkańcy miasta w panice uciekali do domów. Na białych i niebieskich szatach pojawiała się wygnana wiele miesięcy temu czerwień. Widziałem jak złośliwa dziewczyna ciągnie za włosy znacznie starszą od niej przekupkę. Dwóch kurpulentnych mężczyzn uśmiechało się szeroko kopiąc leżącego starca w błękitnie. W ziemi czułem drżenie krzyków bólu i rozpacz. Z trudem stąpałem po chwiejnym od dźwięków bruku. Nikt mnie nie zauważał, a ja nie mogłem mówić czy krzyczeć. Tym razem byłem jednak przygotowany. Wyciągnąłem wielki arkusz papieru i napisałem na nim „To słowa nas niszczą. Bez słów wszyscy jesteśmy tacy sami, jesteśmy ludźmi. Przestańmy mówić, a zacznijmy patrzeć. Słowa nas dzielą i niszczą. Ale to wspólne czyny, praca i życie nas łączą. Zamknijcie usta i sami popatrzcie.” Wymachiwałem grubo nakreślonymi zdaniami pomiędzy kupcami, podstawiałem im kartkę przed czerwone i okrągłe twarze. Chciałem, żeby po raz pierwszy posłuchali mojego niemego głosu. Lecz oni zamykali tylko pełne gniewu oczy.